

A D A N E G R I

S Ł U G A

(Autoryzowany przekład z włoskiego)

R. CENTNERSZWEROWEJ

NAKŁADEM „BLUSZCZU” WARSZAWA 1924

BIBLIOTEKA * V * M O D R O D
B N

1 1.575.306

Szare, dychawiczne, smutne stadło małżeńskie: zamiatacz ulic, bardziej niechlujny od brudu, jaki zbierał w zaukach podmiejskich, i marna szwaczka, nawpół oślepta od ciągłego ślęczenia nad igłą,—dało pewnego dnia życie dziewczynce. Niepożądaney, niekochanej, cierpianej z musu, jak nędza, wysysająca krew z żył matki, jeszcze młodej, i zginającą do ziemi ciało ojca, jeszcze niestarego.

Córka dwu istot słabych urodziła się brzydką i brzydką wyrosła. Mając lat dwanaście, krępa, z grubą, pospolitą, twarzą z małemi, skośnemi, japońskiem i oczkami, rozjaśniającemi światłem dobroci rysy, jak gdyby wyciosane toporkiem z kamienia, oporządzała cały skromny dom rodziców. Zamiatała izbę, słała wielkie łóżko i własny tapczanik, prała w ceberku łachmany ojcowe, a nadewszystko, otaczała ciepłem czujnej i troskliwej opieki przedwczesne niedołęstwo matki, osiwiałej i pomarszczonej w czterdziestym roku istnienia, nawpół ślepej od ciągłego szycia, obo-

jętnej na wszystko, po za atakami artretycznymi, wydzierającymi z wyschłej jej piersi przeraźliwe okrzyki bólu.

Zgasła wreszcie matka o świcie listopadowym, spowitym w mgłę. W kilka miesięcy po niej poszedł ojciec, tknięty apopleksją. Znikli oboje, jak znikają zazwyczaj zwierzęta i nędzarze, cicho, bez hałasu, bez śladu. Anina miała wtedy piętnaście lat. Zebrała garstkę rzeczy własnych, sprzedała za grosze łóżko rodziców i komodę, wdziała na palec pozłacaną ślubną obrączkę matczyną — i poszła na służbę.

* * *

Od tej chwili zaczęła zarysowywać się na twar-
dem podłożu pracy niezmordowanej właściwa linja
jej życia.

Natura obdarzyła ją genjuszem posłuszeństwa. Urodziła się sługą, jak inni rodzą się malarzami, poetami, giełdziarzami czy złodziejami. Posłuszeństwo, usłużność, cierpliwość i pogoda umysłu, mimo pracy mordującej, były zasadniczymi cechami potulnego, skromnego, ale stworzonego na modłę wspaniałą tego okazu ludzkiego.

Wyuczyła się prędko, pod batutą drobiazgowej i despotycznej chlebodawczyni, najsubtelniejszych, najtrudniejszych, najprzykrzejszych robót, spełnionych w domu mieszczańskim: ciągnięcia *galery* (tak nazywa

Wszystko to wszakże nie ciążyło jej, nie sprawiało jej przykrości. Zdawało się jej tak naturalnem, że nie rozumiała wcale, jak mogłoby być inaczej.

Dusza posłuszna, niesucha jednak i niezacięta. W sercu jej tkwiła pokorna, lecz niezwalczona potrzeba kochania. Małe jej, błyszczące, skośne oczki japońskie uśmiechały się jasnym promieniem sympatji do wszystkich i do wszystkiego; do ciemnookiej, smagłej pani domu, do jej męża, zrędnego i drobiazgowego, do grubego ich przyjaciela, który przychodził co wieczór na kolację i nigdy nie zostawiał ani grosza napiwku; do piekarza, do młeczarki, do bucików, które czyściła z zapalem, do rondli miedzianych, które tarła tak, że błyszczały jak złote, do kota prądkowanego i do okna kuchennego, na którem postawiła anemiczną cynerarię, kwitnącą w skrzynce blaszanej.

Te jej egzotyczne, niewinne i promienne wesołością oczy czyniły ją nieomal piękną pomimo postaci niekształtnej, mimo cieniutkiego warkoczyka koloru rdzy, skręconego na czubku głowy bez cienia zalotności i twarzy, z gruba wyciosanej z granitu czerwonego.

Mijał czas wolno i jednostajnie. Anina była już kobietą trzydziestoletnią, silną i kosmatą jak tragarz. Dorobiła się w domu znaczenia, nieświadomionego może, ale bezwzględniego, — stała się niezbędną, jak powietrze, którem się oddycha, jak woda, którą się pije, jak podłoga, po której się chodzi. Jej skromna

suknia w paski białe i niebieskie, jej płaskie pantofle filcowe, przygłuszające odgłos kroków, migwały wszędzie; ich właścicielka zaglądała w każdy kąt, wszystkim zarządzała, pozostając zawsze dawną Aniną, skromnie usuwającą się wieczorem do swojego kącika w kuchni, gdzie robiła pończochę na drutach, łatała ścierki lub cerowała bieliznę państwa.

O zamążpójściu nie pomyślała nigdy. Nikt zresztą nie spojrział na nią nigdy z pożądaniem, ani z poważnym zamiarem, jak się patrzy na inne kobiety. Należała do rzędu tych, które przechodzą obok życia, nieświadome płci swojej, nie odczuwające tęsknot jej i niepokojów, nie wyłaniające ze siebie owego fluidu, który u wielu brzydkich potężniej jeszcze działa niż u pięknych.

Wystarczała jej praca niezmordowana. Stworzona była po to, aby być sługą.

Kiedy wyszła za mąż córka jej chlebodawców, Ljana, wątłe, przejrzyste dziewczątko, podobne do lampy alabastrowej, w której wnętrzu płonie ogień, przypominające twarzą nadmiernie wydłużoną, oczyma zbyt nieruchomemi i zaostrozonym, ekstatycznym profilem madonny prerafaelitów — uważał każdy za rzecz naturalną, że wierna Anina poszła za młodą panią.

Ljana nie umiała nigdy osiąść sztuki rozkazywania: natura cicha, milcząca, zamknięta w sobie, mogła godzinami całemi marzyć, oderwana od świata; drżała za lada szmerem niespodzianym, bladła przy

każdym słowie ostrzejszem. Córka dwojga despotów zatraciła w sobie nazawsze wszelki ślad woli. Właśnie dlatego wybrał ją inżynier Carmi, sam taki stanowczy i energiczny. Zagadkowość jej i wątkość po- ciągały szczególnym urokiem silnego mężczyznę. Czy- niły ją nieprzeniknioną i nieomal niepokojącą tem, co się w niej kryło, a czego nigdy nie śmiała wy- powiedzieć.

Anina ubóstwiała ją. Była przy jej urodzeniu. Nianczyła ją i hodowała, czuwała nad nią, kiedy była chora, pieściła i tuliła w chwilach smutku. Zamąż- pójście Ljany było do pewnego stopnia jej własnem zamążpójściem.

Meble, dywany, firanki, cacka i sprzęty nowego domu wielbione były i strzeżone przez dobrą sługę nakształt świętości.

Nie przechodziło jej nigdy przez myśl, że wszyst- kie te piękne rzeczy mogłyby być jej własnemi, gdy- by los obszedł się z nią nieco wspaniałomyślniej. Wystarczał jej obowiązek czuwania nad temi skarba- mi; dbanie o ich całość dawało jej rokoszne uczucie spełnianego posłannictwa; czyszczenie ich, ustawia- nie, porządkowanie—równało się w prostym jej umy- śle posiadaniu ich. Poczucie własności, bardzo w niej niejasne, nieświadomie utożsamiało stoczoną przez robaki komodę matczyną, sprzedaną za kilka lirów, z masywnem umeblowaniem z rzeźbionego drzewa orzechowego, z szerokimi kanapami palisandrowemi, które codziennie własnemi, zazdrosnemi o ten przy-

wilej, rękami czyściła i okurzała za pomocą szczotek, miękkich ściereczek i piórek specjalnych.

Z wiekiem roztyła się, przygarbiła, stała się ociężałą i bezkształtną. Niczyje jednak ruchy nie mogły być delikatniejszymi i pieściwszymi przy podsuwaniu stołeczka pod nogi omdlewającej młodej pani. Kierowana intuicją miłości, nauczyła się odgadywać bez słów życzenia państwa: z lekkiego skinienia głową, drgnięcia powiek, poruszenia brwi, z nagłego milczenia. Inżynier, łatwo wpadający w ataki gniewu wściekłego, szybko zresztą mijającego, jak burza lipcowa, co huczy, grzmi i ciska pioruny, aby wkrótce potem odsłonić niebo, jaśniejsze jeszcze niż poprzednio, uspakajał się rychlej pod wpływem cichych, rozsądnych słów Aniny, aniżeli wobec nerwowego drżenia, śmiertelnej bladości, błagalnego milczenia i moralnej prostracji wylęknionej żony swojej.

Ljana Carmi po wydaniu na świat drobniuchnego stworzonka, zgasłego, zanim jeszcze żyć zaczęło, uległa zastraszającemu wyczerpaniu sił. Bladość jej dawniej przejrzysta, stała się zupełnie woskową. Przez długie miesiące żyła pomiędzy łóżkiem a szeslongiem, pod grozą wciąż ponawiających się ataków sercowych, podczas których znosiła męki agonji, nie umierając.

Podczas całego tego okresu ciężkiego zapomnienia Anina o śnie, o głodzie i zmęczeniu. Z bezgranicznym oddaniem i poświęceniem pełniła funkcje siostry miłosierdzia, zachowując z cudownym zawsze

poczuciem taktu naturalną pokorę służebnej. Jej grube, stwardniałe od miotły ręce, przezarte ciągłym stykaniem się z wodą wrzącą, szarem mydłem i sodą, umiały przenosić chorą, wygładzać pod nią prześcieradła, poprawiać jej poduszki i podawać lekarstwa ze zwiewną lekkością i miękkością dotknięcia.

Zazdrosna była o siostry miłosierdzia, nie dopuszczała do Ljany obcych pielęgniarek; chciała sama uleczyć swoją młodą panią. I młoda pani wyzdrowiała, pozostała jednak wątłą, jak kwiat, powierzony troskliwym staraniom Aniny, jak mała dziewczynka, którą otulała ona wieczorem kołdrą, szepcąc: Dobranoc, paniusieńku — z tą samą bezgraniczną czułością, jaka przepelnia serca matek.

W miarę starzenia się wyłysiała Anina niemal zupełnie; nie chciała jednak nigdy słyszeć o peruce. Jej goła głowa, barwy żółto-oleistej, pokryta jedynie na karku rzadkimi kosmykami siwych włosów, stała się bardziej jeszcze groteskową niż dawniej, rażąc żółtymi, usianymi mnóstwem guzów i brodawek, policzkami, skośnemi, zawsze skrzącemi się pogodną życzliwością, oczkami i nosem zadartym, siwym i nabrzękłym z powodu libacji—bowiem jedną musiała biedna Anina mieć wadę... lubiła wino; nigdy jednak aż do upicia się. Ilekroć zdarzało jej się być troszeczkę — o, tylko troszeczkę!... podchmieloną, wytańcowywała w kuchni śmieszne, dziwaczne jakieś fandango, przyśpiewując piosenki w rodzimem swym piemoncko-francuskim narzeczu. Wszystko koń-

czyło się podskokami i powtarzaniem zwrotki *Op là, vive la galette!*...

Największą radością ostatnich lat Aniny był stary dwór, odziedziczony przez inżyniera Carmi po śmierci matki—cicha ustron wiejska, otoczona z jednej strony pasmem gór a z drugiej rozległą, opuszczającą się tarasami—doliną. Spędzano tam w zupełnym spokoju i odosobnieniu lato i jesień. Ściany pokojów były bielone wapnem, podłoga z czerwonych kamieni, drewniana studnia na dziedzińcu, jeden duży pokój, wypełniony złocistymi kukurydzami, sitami i koszami i altana, gęsto obrośnięta pachnącem winem szlachetnem, którego odnogi wdzierały się przez otwarte okna do pokojów. Prostota duszy Aniny cudownie harmonizowała z prostotą domu, z kolorowaniami rycinami Świętego Serca Jezusowego i Marji, zatkniętymi za gałęzie drzewa oliwkowego nad wezłowiec wielkiego łoża na kolumienkach; z szafami stoczonemi przez robaki, z balsamicznym zapachem jabłek i pigw, przywarłym do starych murów, a tak charakterystycznym dla starych dworów wiejskich, że stanowią nieodłączną niejako od nich atmosferę odwiecznych bóstw domowych.

Ona sama była takim bóstwem domowem, pogodnem i dobroczynnem. W całej okolicy (wiosce zapadłej, zaludnionej rolnikami i tkaczami) cieszyła się autotyretem niezaprzeczonem. Kobiety i mężczyźni przychodzili do niej po rady, w trudnych wypadkach wzywano jej pomocy. Nigdy biedak nie

pukał daremnie do drzwi, których była skromną ale wszechpotężną strażniczką. Rozdawała hojnie chleb, oliwę, mąkę, oczywiście z zapasów pańskich, nie licząc się i w tem z poczuciem własności, w najściślejszej ewangelicznej czystości własnych intencji.

Kiedy doszła do sześćdziesięciu ośmiu lat, wciąż wciąż jeszcze czynna i sprawna, modliła się do Boga o jedyną łaskę: aby zezwolił jej nie zniedołężnieć w w długiej chorobie starości, która uczyniłaby ją ciężarem dla chlebodawców, lecz zesłał jej odrazu piękną, niespodziewaną śmierć przy pracy.

I Bóg ją wysłuchał.

Pewnego skwarne go popołudnia, w niskiej, zadymionej kuchni, w której pobrzękiwało kilka much sennych, siedziała staruszka na ławce przy wygasłym ognisku, robiąc pończochę. Ukończyła robotę dzienną zamiotła i skropiła podłogę, ustawiła w porządku talerze na starej półce drewnianej i napełniła wodą błyszczące kadzie miedziane. Oboje państwo odpoczywali w swoich pokojach na górze. Cisza zupełna panowała w całym domu, zdawało się, opustoszałym.

Kołysana jednostajnym rytmem poruszanych drutów, ogarnęła Anina małemi swojemi, skośnemi oczkami zarysy i harmonję rzeczy ukochanych: stare, pocziwe ściany przyciemnione, mosiężny świecznik trójpłomienny, zawieszony u pułapu, gałąź lauru na drzwiach, kołowrotek i kądziel w jednym z rogów na pamiątkę zmarłej gospodyni.

Drzwi oszklone, otwarte na zawiasach, ujmowały w ramy swoje wizję spokoju niezamąconego, morze zieleni trójbarwnej,—nasyconej i połyskliwej liści kasztanowych, żółto-bronzowej drzew orzechowych, szaro-srebrzystej wierzb — opadające falami, ku dołninie, aż do widnokręgu, gdzie ziemia i niebo zlewały się w jeden opar błękitnawy.

— Jutro pranie — myślała raczej instynktem niż mózgiem. — Trzeba wstać o czwartej... wybrać i porachować bieliznę... wydać mydło praczkom, ale gdzie?... gdzie jest mydło? O!... jaki żar, jaki ciężar!... gdzie... mydło?...

Ale nic krucha pękła w jej mózgu, ręce opadły na kolana, posiniała i wykręcona twarz przechyliła się na lewe ramię. Pozostała tak, skamieniała w tragicznej brzydocie, na której majestat śmierci wyrzył stygmat uroczysty.

Zgasła wraz z nią ostatnia sługa, godna tego imienia. Skończyła się wraz z nią nazwa *sługi* w jej znaczeniu najpiękniejszym, najbardziej ludzkim — dobrowolnego poddania, czujnej troskliwości i pogody ducha, pracy pospolitej ale niezbędnej, spełnianej z zapałem posłannictwa, z radością przyrodzoną człowieka, pozostającego w harmonji doskonałej z własnym losem.

Ławka, na której zastygła w śnie ostatnim, przywołuje do dzisiaj jeszcze pamięć jej cienia, niewidzialnego, ale wszechobecnego genjusza opiekuńczego rzeczy

